



okrutna

OKRUTNE
DZIEDZICTWO
#2

BESTIA



SOPHIE LARK

Tytuł oryginału

Stolen Heir

Copyright © 2020 by Sophie Lark

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Anna Adamczyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-834-2

SOPHIE LARK

OKRUTNA BESTIA

OKRUTNE DZIEDZICTWO #2

TŁUMACZENIE

TOMASZ KUPCZYK

OŚWIĘCIM 2022

PLAYLISTA

1. *Blood In The Cut* – K. Flay
2. *Someone You Loved* – Lewis Capaldi
3. *Satin Birds* – Abel Korzeniowski
4. *Earned It* – The Weeknd
5. *Company* – Tinashe
6. *Bad Intentions* – Niykee Heaton
7. *War of Hearts* – Ruelle
8. *As Shadows Fall* – Peter Gundry
9. *Latch (acoustic)* – Sam Smith
10. *Castle* – Halsey
11. *Monsters* – Ruelle

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MIKOŁAJ WILK

Warszawa, dziesięć lat temu

Wracając z pracy, zatrzymuję się, aby kupić świeże chrusty dla Anny. W papierową torbę wsiaąka tłuszcz, na którym usmażono ciastka zrobione z ciasta śmietanowego i posypane cukrem pudrem. Ich wygląd sprawia, że są znane również pod nazwą „anielskie skrzydła”. Anna dziś zdaje egzaminy wstępne na studia. Ja już wiem, że będziemy mieli powód do świętowania. Anna jest genialna. Jestem przekonany, że zda i będzie miała najwyższe oceny.

Nigdy byście się nie domyślili, że jesteśmy bliźniętami. Moja siostra ma brązowe włosy, zaś moje są jasne jak kukurydza. Ona dosłownie pochłania każdą książkę, jaka wpadnie jej w ręce, a ja porzuciłem szkołę w wieku czternastu lat.

Nie miałem w tej kwestii wyboru, bo ktoś w końcu musiał opłacać nasze małe ponure mieszkanie.

Nasz ojciec miał dobrą pracę w Hucie Warszawa. Pracował jako konserwator i zarabiał prawie sześć tysięcy złotych miesięcznie. To wystarczało, abyśmy chodzili w nowych butach i mieli pełną lodówkę.

Tak było, dopóki tata nie został ugotowany jak homar, pracując przy wielkim piecu. Udało mu się przeżyć. Teraz jednak jego poparzenia i blizny są tak rozległe, że ledwo jest w stanie wciskać przyciski na pilocie w trakcie całodziennych maratonów oglądania telewizji w swoim pokoju.

Matka od nas odeszła. Słyszałem, że poślubiła księgowego i przeprowadziła się do Krakowa. Od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wieści.

To nie ma znaczenia. W Delikatesach zarabiam wystarczająco, żeby nas utrzymać. Wierzę, że pewnego dnia Anna zostanie profesorem nauk humanistycznych. Wtedy kupimy mały domek i się stąd wyrwiemy.

Całe życie mieszkaliśmy na Pradze, na prawym brzegu Wisły. Po lewej stronie rzeki mieszczą się dobrze prosperujące sklepiki i punkty usługowe. My z kolei mieszkamy w biednej kamienicy. Wysokie, prostokątne i brudne budynki wzniesione z cegieł przysłaniają nam słońce. Pełno tu również opuszczonych fabryk z czasów PRL-u. Wtedy ta część miasta stanowiła ośrodek przemysłu państwowego. Obecnie okna w dawnych halach produkcyjnych są powybijane, a drzwi zamknięte łańcuchami z ciężkimi kłódkami. Narkomani włamują się tam, aby spać na stertach szmat i wstrzykiwać sobie rosyjskiego „krokodyla”¹, od którego ich ciała zaczynają gnić.

Kiedys będziemy mieć z Anną porządny domek z ogródkiem. Nikt nie będzie mieszkał nad nami ani pod nami i nikt przez całą noc nie będzie się tłukł czy wydzierał.

Zakładałem, że Anna nie wróci wcześniej niż za kilka godzin, dlatego też jestem zdezorientowany i zdziwiony, gdy po otwarciu drzwi do mieszkania widzę leżący na podłodze plecak.

Anna niezwykle dba o porządek. Nie rzuciłaby plecaka na podłogę, pozwalając, aby znajdujące się w nim książki rozsypały się po podłodze. Niektóre z nich są mokre i brudne od błota. Leżą obok buty są w takim samym stanie.

¹ Krokodyl – potoczna nazwa narkotyku, który zawiera dezomorfinę – pochodną morfiny. Substancja produkowana metodą chałupniczą jest zanieczyszczona m.in. benzyną, kwasem solnym, jodem i fosforem. Silnie uzależnia, powodując śmierć w ciągu paru lat. Narkotyk zawdzięcza swoją nazwę temu, że w miejscu wkłucia pozostawia zielonkawy ślad, który jest efektem gnicia zniszczonych tkanek. Zmiany skórne stają się z czasem coraz bardziej rozległe, a później pokrywać zaczynają je łuski przypominające skórę krokodyla (przypr. red.).

Słyszę lejącą się wodę w łazience. To też jest dziwne – Anna nie kąpie się o tej porze.

Rzucam papierową torbę z ciastkami na stół w kuchni i biegnę do łazienki. Pukam do drzwi i wołam siostrę.

Nie odpowiada.

Przyciskam ucho do drzwi i słyszę zagłuszony przez szum prysznic szloch.

Uderzam mocno barkiem w drzwi, a wtedy tanie drewno pęka i zamek ustępuje. Wpadam do niewielkiej łazienki.

Widzę siedzącą pod prysznicem Annę, która wciąż ma na sobie szkolne ciuchy. Jej bluzka została niemal całkiem zdarta z ciała. Cienki materiał przylega jedynie do jej ramion i pasa.

Ramiona, ręce oraz plecy Anny pokrywają liczne rany cięte oraz ślady po uderzeniach. Zauważam ciemne siniaki na jej szyi oraz piersi. Wyglądają bardziej na ślady po ugryzieniach.

Jej twarz jest w jeszcze gorszym stanie. Przez prawy policzek biegnie długie nacięcie. Ma też podbite oko. Wypływająca z nosa krew skapuje do zebranej wokół jej nóg wody i rozplywa się w niej niczym akwarela.

Nie może na mnie patrzeć. Po pierwszym szybkim spojrzeniu na mnie natychmiast chowa twarz w ramionach i szlocha.

– Kto ci to zrobił? – pytam drżącym głosem.

Zaciska usta i kręci głową, nie chcąc mi nic powiedzieć.

To nieprawda, że bliźnięta potrafią sobie czytać w myślach. Znam jednak swoją siostrę. I to bardzo dobrze.

Wiem również, kto jej to zrobił. Widziałem nie raz jak na nią patrzyli za każdym razem, gdy wychodziła z mieszkania do szkoły. Widywałem ich opierających się o swoje drogie samochody ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Na twarzach mieli okulary przeciwsłoneczne, spod których i tak było widać, że się na nią gapią. Czasami coś do niej krzyczeli, jednak Anna nigdy się do nich nie odwracała ani im nie odpowiadała.

Jestem pewny, że to robota Braterstwa. Polskiej mafii.

Wydaje im się, że mogą mieć wszystko, czego tylko zapragną – drogie zegarki, złote łańcuszki, telefony, na które nie wystarczyłaby moja miesięczna pensja. A teraz najwyraźniej postanowili, że będą mieć moją siostrę.

Anna boi się tego, co się stanie i dlatego nic mi nie chce powiedzieć.

Chwytam ją za ramię i zmuszam, by na mnie spojrzała. Ma czerwone, spuchnięte od płaczu oczy. Są pełne przerażenia.

– Którzy to? – syczę. – Ten z ogoloną głową? – Po chwili wahania kiwa głową. – Ten z ciemną brodą? – Kolejne skinienie głową. – Ten w skórzanej kurtce?

Jej twarz wykrzywia grymas.

To on jest hersztem. Widziałem, jak pozostali mu się podporządkowują. To on głównie gapił się na Annę.

– Dorwę ich. Zapłacą za to, każdy co do jednego – obiecuję.

Anna kręci głową, a bezgłośnie wypłakiwane łzy spływają po jej poturbowanych policzkach.

– Nie, Miko – szlocha. – Oni cię zabiją.

– Nie zrobią tego, jeśli ja ich zabiję pierwszy – odpowiadam ponuro.

Zostawiam ją pod prysznicem. Wchodzę do swojego pokoju, po czym podważam jedną z desek podłogowych, pod którą schowałem metalową kasetkę. Znajdują się w niej wszystkie moje oszczędności – pieniądze odłożone po to, aby Anna mogła kontynuować naukę. Nie poszła dziś na egzaminy. W tym roku już nie będzie chodziła do szkoły.

Zwijam banknoty w rulon i chowam je do kieszeni. Następnie opuszczam mieszkanie. Biegnę w deszczu i udaję się do lombardu znajdującego się przy ulicy Brzeskiej.

Za ladą – jak zresztą zawsze – siedzi Jakub. Czyta książkę, której brakuje połowy okładki. Jakub jest przygarbionym, łysiejącym mężczyzną. Na jego nosie spoczywają okulary w szerokich plastikowych oprawkach ze szklami grubymi jak denka butelki

po Coca-coli. Patrząc na mnie, mruga tymi swoimi oczkami niczym sowa, która obudziła się zbyt wcześnie.

– Mikołaju, w czym ci mogę pomóc? – pyta chrapliwym głosem.

– Potrzebuję broni – odpowiadam.

– To byłoby nielegalne, chłopcze – odpowiada, chichocząc ochryplym głosem Jakub. – A nie chciałbyś gitary albo Xboxa?

Rzucam zwitek banknotów na blat.

– Skończ z tym pierdoleniem – mówię. – Pokazuj, co tam masz.

Zerka na pieniądze, ale nawet ich nie rusza. Po chwili wychodzi zza lady i podchodzi do frontowych drzwi. Przekręca zamek w drzwiach, po czym, szurając nogami, rusza na tył sklepu.

– Tędy – mówi, nie odwracając się w moją stronę.

Ruszam za nim na zaplecze. To tutaj mieszka – dostrzegam starą kanapę z dziurami w tapicerce, przez które wychodzi wypełnienie. Jest też telewizor i niewielka kuchnia, pachnąca paloną kawą i papierosami, z wolnostojącą płytą grzewczą.

Jakub prowadzi mnie do komody. Otwiera górną szufladę, a następnie pokazuje mi niewielką kolekcję pistoletów.

– Który chcesz? – pyta.

Nie mam zielonego pojęcia o pistoletach. Nigdy w życiu żadnego nie miałem.

Patrzę na broń. Jest ze stali albo ze stali węglowej. Niektóre egzemplarze są eleganckie, ale inne wyglądają niemal na antyki.

Jeden z pistoletów jest czarny, średniej wielkości, wygląda na prosty i nowoczesny. Kojarzy mi się z bronią Jamesa Bonda. Bierę go do ręki i podnoszę, jego ciężar aż mnie zaskakuje.

– To Glock – oznajmia Jakub.

– Wiem – odpowiadam, chociaż nie ma w tym odrobiny prawdy.

– Kaliber 45. Chcesz też amunicję? – pyta.

– I nóż.

Widzę malujące się na jego twarzy rozbawienie. Myśli, że będę bawić się w komandosa. To bez znaczenia, co sobie myśli

– nie chcę, żeby traktował mnie poważnie. Nie chcę, żeby kogośkolwiek ostrzegł.

Podaje mi nóż wojskowy Leatherneck w polimerowej pochwie. Pokazuje mi, jak chwycić pochwę, aby wyciągnąć ostrze, zupełnie jakby robił prezentację dla dziecka.

Nie pyta po co mi to wszystko. Nie oferuje zamiast tego niczego innego.

Chowam broń pod ubraniem i szybko wracam do mieszkania.

Chcę sprawdzić, co u Anny. Potem zacznę tropić te żywe trupy, które ośmieliły się położyć łapska na mojej siostrze.

Otwierając ponownie drzwi do mieszkania, czuję dziwny chłód pełznący wzdłuż mojego kręgosłupa.

Nie wiem dokładnie, czym on jest. Wszystko wygląda tak jak wcześniej – plecak nadal leży tam, gdzie leżał, a buty Anny leżą tuż obok niego. Cały czas słyszę cichy szum telewizora dobiegający z pokoju ojca. Jest to dźwięk, który słychać w naszym domu w dzień i w nocy. Dostrzegam nawet niebieskie światło sączące się pod drzwiami do jego pokoju.

Jednak nie słyszę już szumu wody. Nie słyszę również Anny. Mam nadzieję, że świadczy to o tym, że odpoczywa w swoim pokoju.

Tak myślę. Myślę, że będzie leżała w łóżku, pod kołdrą. Mam nadzieję, że śpi. Idę sprawdzić, co się z nią dzieje. Mijam drzwi do łazienki i waham się.

Z wnętrza łazienki dobiega cichy dźwięk. To odgłos ciągłego kapania. Brzmi jak nie do końca zakręcony kran.

Drzwi są uchylone – rozwalilem framugę, wpadając do środka. Teraz już nigdy do końca się nie zamkną.

Otwieram drzwi, a jasne światło jarzeniówek natychmiast mnie oślepia.

Widzę, że moja siostra leży w wannie, wpatrując się w sufit.

Jej oczy są szeroko otwarte. Są nieruchome, zupełnie martwe. Twarz ma bledszą niż kreda.

Jedna ręka przewieszona jest przez brzeg wanny. Od jej nadgarstka aż po łokieć ciągnie się jaskrawy uśmiech otwartej, długiej rany.

Krew pokrywa podłogę. Spływa od wanny aż na skraj płytek u mych stóp. Wdepnę w nią, jeśli zrobię krok naprzód.

Z jakiegoś powodu mnie to paraliżuje. Chcę pobiec do Anny, ale nie chcę chodzić po jej krwi. To głupie, szalone... ale mam wrażenie, że to mogłoby ją zranić. Mimo że jej śmierć jest oczywista.

Muszę jednak do niej podejść. Muszę zamknąć jej powieki. Nie mogę patrzeć, jak wpatruje się w sufit. Na jej twarzy nie maluje się spokój – wygląda na tak samo przerażoną co wcześniej.

Czuję pieczenie w piersi i aż skręca mnie w żołądku. Podbiegam do niej, ślizgając się na płytkach. Delikatnie unoszę jej rękę i wkładam ją z powrotem do wanny. Skóra Anny wciąż jest ciepła i przez chwilę myślę, że jeszcze jest nadzieja. Potem znowu patrzę w jej twarz i już wiem, jaki jestem głupi. Kładę na niej dłoń, żeby zamknąć jej powieki.

Następnie idę do jej pokoju. Zabieram jej ulubiony koc – ten w księżyce i gwiazdki. Niosę go do łazienki i okrywam nim jej ciało. Wanna wciąż jest pełna wody. Koc zaczyna nasiąkać, lecz to bez znaczenia – chcę tylko ją zasłonić, żeby nikt na nią nie patrzył. Nigdy więcej.

Potem wracam do swojego pokoju. Siadam na podłodze obok pustej kasetki, której jeszcze nie schowałem do kryjówki pod podłogą.

Poczucie winy oraz smutek, który odczuwam, są nie do zniesienia. Nie mogę tego znieść. Dosłownie. Czuję się tak, jakby ktoś kawałek po kawałku obdzierał mnie z ciała. Wszystko po to, by został ze mnie wyłącznie szkielet – nagie kości pozbawione mięśni, nerwów oraz serca.

Serce w mojej piersi zamienia się w kamień. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ciało Anny, biło tak mocno, że niemal czu-

łem jak z tego wysiłku pęka. Teraz rozkurcza się coraz wolniej, coraz słabiej... W końcu wydaje mi się, że przestaje pracować.

Nigdy nie spędziłem całego dnia z dala od swojej siostry. Była moją najbliższą przyjaciółką, jedyną osobą, na której naprawdę mi zależało. Pod każdym względem była lepszym człowiekiem ode mnie. Była mądrzejsza, miłsza i szczęśliwsza.

Często czułem, że gdy formowaliśmy się w łonie matki, nasze cechy zostały rozdzielone. Anna dostała tę lepszą część. Jednak dopóki była w pobliżu mogłem czerpać z jej dobroci i mądrości. Teraz jej nie ma, więc całe światło zgasło wraz z nią.

Jedynie cechy, które pozostały, są we mnie. To koncentracja i determinacja. Towarzyszy im teraz jeszcze moja wściekłość.

To, że Anna nie żyje jest oczywiście moją winą. Powinienem tu z nią zostać. Powinienem jej pilnować i zadbać o nią. Ona właśnie tak by się zachowała.

Nigdy nie wybaczę sobie tego błędu.

Jeśli jednak będę pielęgnować swoje poczucie winy, to wkrótce przyłożę broń do skroni i skończę ze sobą, a do tego nie mogę dopuścić. Muszę pomścić Annę. Obiecałem jej to.

Zbieram okruchy emocji, które we mnie pozostały i chowam je głęboko w swoim sercu. Tylko dzięki sile woli potrafię odmówić sobie odczuwania czegokolwiek. Dosłownie czegokolwiek.

Pozostał mi tylko jeden cel.

Jednak od razu nie mogę go zrealizować. Jeśli spróbuję to zrobić – z pewnością zginę i nie zdołam już niczego osiągnąć.

Zamiast szybkiej zemsty, wybieram oczekiwanie. Spędzam kilka kolejnych tygodni na śledzeniu swoich ofiar. Dowiaduję się, gdzie pracują i mieszkają. Wiem już, gdzie bywają – które kluby ze striptizem, restauracje, kluby nocne i burdele są ich ulubionymi miejscami spotkań.

Wiem też, jak się nazywają: Abel Nowak, Bartek Adamowicz i Iwan Zieliński. Abel jest z nich najmłodszy. To wysoki, chudy, wyglądający na chorego, koleś z ogoloną na łyso głową. Łysa

czaszka ma być ukłonem w stronę hołubionej przez niego neo-nazistowskiej ideologii. Jest dwa lata starszy ode mnie i chodził do tej samej szkoły co ja.

Bartek ma gęstą, czarną brodę. Zdaje się, że odpowiada za prostytutki pracujące w mojej okolicy. Zawsze czai się w nocy na rogu ulicy, upewniając się, że dziewczyny oddają mu wszystkie pieniądze. Nie jest zbyt rozmowny. Nie wdaje się w rozmowę z facetami, którzy szukają towarzystwa jego „podopiecznych”.

Szefem całej trójki jest Iwan. Chociaż bardziej powinienem powiedzieć: zastępcą. Wiem, kto jest nad nimi. I wcale mnie to nie obchodzi. Ta trójka zapłaci za to, co zrobili. I nie będzie to ani szybkie, ani bezbolesne.

Abla odnajduję jako pierwszego. To niezwykle proste, bo często – podobnie jak kilku naszych wspólnych znajomych – odwiedza klub Piwiarnia. Zastaję go siedzącego przy barze. Śmieje się i pije, natomiast moja siostra leży od siedemnastu dni zakopana w ziemi.

Patrzę, jak coraz bardziej się upija.

A potem na drzwiach łazienki przyklejam karteczkę, na której widnieje niezgrabny napis: „zepsuta toaleta”.

Czekam w uliczce nieopodal. Po dziesięciu minutach Abel wychodzi z klubu, żeby się odlać. Rozpina rozporek obcisłych jeansów i kieruje strumień moczu na ceglany mur.

Nie ma włosów, za które mógłbym złapać, dlatego też oplatom przedramieniem jego czoło, aby odchylić jego głowę do tyłu. Potem podcinam mu gardło od ucha do ucha.

Ostrze noża bojowego jest ostre, ale i tak jestem zaskoczony jak mocno muszę ciąć, aby otworzyć mu szyję. Abel próbuje krzyczeć. Jest to jednak niemożliwe – przeciąłem mu struny głosowe, a przy tym krew spływa mu do gardła. Jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydaje jest zduszony bulgot.

Pozwalam, aby runął na brudny beton. Kładę go na plecach, żeby mógł mi spojrzeć w oczy.

– To za Annę, ty chory fiucie – mówię.

A potem pluję mu w twarz.

Następnie zostawiam go tam po to, by się wił w bólu na ziemi i utopił we własnej krwi.

Wracam do mieszkania. Siadam na łóżku Anny, na którym został wyłączony materac. Na półce obok łóżka widzę jej ulubione książki. Wszystkie mają pęknięte grzbiety od bezustannego czytania: *Mały książę*, *Szklany klosz*, *Anna Karenina*, *Perswazje*, *Hobbit*, *czyli tam i z powrotem*, *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Alicja w Krainie Czarów*, *Ziemia błogosławiona*. Patrzę na przypięte do ściany pocztówki – Koloseum, Wieża Eiffla, Statua Wolności, Tadź Mahal. Marzyła, aby odwiedzić te miejsca, lecz teraz już nigdy ich nie zobaczy.

Dopiero co zabiłem człowieka. Powinienem być przerażony, mieć wyrzuty sumienia albo przynajmniej powinienem czuć, że sprawiedliwości stało się zadość, a tymczasem nic nie czuję. Moje wnętrze jest jedną wielką czarną dziurą. Mogę przyjąć na siebie wszystko bez okazywania żadnych emocji.

Podchodząc do Abla, w ogóle nie czułem strachu. Jeśli to nie sprawi, że moje serce zacznie bić, to już nic tego nie uczyni.

Tydzień później biorę na celownik Bartka. Wątpię, żeby się mnie spodziewał – Abel miał zbyt wielu wrogów, dlatego pozostali nie domyślą się, kto mógł go zabić. Najprawdopodobniej nigdy nie pomyślą o mojej siostrze. Przypuszczam, że nie była pierwszą dziewczyną, którą zaatakowało Braterstwo. A poza tym nikomu nawet nie zająknąłem się słowem o tym, że chcę się zemścić.

Idę za Bartkiem do mieszkania jego dziewczyny. Z tego, co słyszałem, pracowała na ulicy, a potem została jego kochanką. Kupuję czerwoną czapkę oraz pizzę, a następnie pukam do jej drzwi.

Otwiera mi Bartek. Jest nagi, rozczochrany i pachnie seksem.

– Nie zamawialiśmy pizzy – mruczy, zamykając mi drzwi przed nosem.

– No, ale nie mogę jej zabrać – oznajmiam.

Podnoszę pudełko, roztaczając dookoła kuszący zapach pepperoni i sera.

Bartek patrzy na pizzę, na którą nabrał wyraźnej ochoty.

– Nie zapłacę za nią – ostrzega.

– Nie ma sprawy.

Patrząc w oczy Bartkowi, wręczam mu pudełko. Nic nie wskazuje na to, że mnie rozpoznał. Pewnie zdążył już zapomnieć o Annie. Nie wydaje mi się, aby w ogóle się zastanawiał, czy ma brata.

Odbiera ode mnie pizzę, a ja wyciągam broń i trzykrotnie strzelam mu w pierś. Bartek pada na kolana, a na jego twarzy pojawia się zdumienie, które jest wręcz komiczne.

Gdy jego cielsko pada na podłogę, zdaję sobie sprawę, że jego dziewczyna stała tuż za nim. Jest niską, krągłą blondynką, ubraną w tanią koronkową bieliznę. Przyciska dłoń do ust. Zaraz znacznie krzyknąć.

Zdążyła zobaczyć moją twarz.

Do niej również strzelam bez wahania.

Przewraca się i pada na podłogę. Nawet na nią nie patrzę. Spoglądam w dół, na Bartka. Przyglądam się, jak jego skóra traci kolor wraz z upływem krwi, która rozlewa się po podłodze. Musiałem trafić go w płuca, bo świszczuje przy każdym oddechu.

Spluwam na niego tak samo jak na Abla, a potem odwracam się i odchodzę.

Iwana może nie powinienem był zostawiać na koniec. Z nim może być najtrudniej. Jeśli w ogóle ma trochę inteligencji, to połączy dwa do dwóch i odgadnie, że ktoś żywi do niego urazę.

Lecz tylko w ten sposób mogę to zrobić – to jedyna szansa, abym mógł odczuć w pełni swoje *katharsis*.

Odnajduję go dość szybko, ale postanawiam odczekać jeszcze dwa tygodnie. Przez ten czas prowadzę obserwację.

Widać, że Iwan się ukrywa. Niczym zwierzę wyczuwa, że ktoś na niego poluje, nawet jeśli nie wie, kto.

Otacza się innymi gangsterami. Zawsze rozgląda się dookoła, czy to wsiada lub wysiada z samochodu, czy też zbiera daninę od podrzędnych dilerów z okolicy.

Mam dopiero szesnaście lat. Jestem szczupły, niewyrośnięty, a pod płaszczem noszę fartuch z Delikatesów. Jestem jak każdy jeden dzieciak z Pragi – biedny, niedożywiony, bladej z powodu braku słońca. Dla niego jestem nikim. Tak jak Anna. Nigdy by mnie o nic nie podejrzewał, dlatego obserwowanie go nie jest dla mnie trudne.

Wreszcie udaje mi się zobaczyć, jak opuszcza swoje mieszkanie sam. W ręce trzyma czarny worek marynarski. Nie wiem, co w nim jest, jednak zakładam, że może planować ucieczkę z miasta.

Ruszam za nim. Jestem niecierpliwy i zachowuję się trochę lekkomyślnie. Od śmierci Anny minęło czterdzieści jeden dni. Każdy dzień był przepelnioną pustką udręką. Tęsknię za jedyną osobą, która miała dla mnie jakieś znaczenie. Za jedynym światelkiem w tym całym moim zasranym życiu.

Patrzę na idącego przede mną Iwana. Ma na sobie czarną skórzaną kurtkę. Nie jest brzydki. Tak naprawdę, to pewnie większość kobiet określiłaby go mianem przystojnego – ma ciemne włosy, a jego kwadratową szczękę pokrywa kilkudniowy zarost. Jego oczy są nieco zbyt blisko osadzone. Jestem przekonany, że pieniądze i kontakty, które ma, sprawiają, że nigdy nie brakuje mu zainteresowania ze strony kobiet.

Przyglądałem się, jak wchodził i opuszczał nocne kluby z dziewczynami wieszającymi mu się na ramionach. Burdele również odwiedzał. Nie zaatakował mojej siostry z powodu seksu. Chciał ją skrzywdzić. Chciał ją dręczyć.

Iwan przebiega przez ulicę, a następnie wchodzi przez metalowe drzwi na tyły opuszczonego budynku. Czaję się w zaułku, żeby zobaczyć, czy stamtąd wyjdzie. Nie wychodzi.

Powinienem zaczekać. Tak więc czekam.

Wkrótce mam już jednak dość beczynności. To wszystko skończy się dziś wieczorem.

Otwieram drzwi i wślizguję się do środka. W magazynie panuje mrok. Słyszę, jak gdzieś w oddali kapie z przeciekającego dachu. W powietrzu unosi się zapach wilgoci i pleśni. Jest tu co najmniej o dziesięć stopni chłodniej niż na zewnątrz.

Magazyn wypełniają szkielety zardzewiałych maszyn. Kiedyś mogła się tu mieścić fabryka tekstyliów lub oświetlenia. W panującym mroku trudno to stwierdzić. Nigdzie nie widzę Iwana.

Nie zauważam też osoby, która uderza mnie w tył głowy.

Moją czaszkę wypełnia eksplozja oślepiającego bólu. Natychmiast padam na kolana. Wewnątrz budynku zapala się światło i zdaję sobie sprawę, że otacza mnie pół tuzina mężczyzn. Na ich czele stoi Iwan, w ręce wciąż trzyma swój worek marynarski. Po chwili rzuca go na ziemię, tuż przy swoich stopach.

Dwóch kolesi łapie mnie za ramiona i podnosi do pozycji stojącej, po czym jeden z nich zakłada mi ręce za plecy. Nie bawią się w delikatność podczas przeszukiwania. Znalezionej pistolet podają Iwanowi.

– Tym zamierzałeś mi strzelić w plecy? – warczy.

Trzymając pistolet za lufę, uderza mnie kolbą w szczękę. Eksplozja bólu. Krew w ustach. Czuję, że jeden z zębów mi się poluzował.

Pewnie zaraz zgine, a mimo to – nie boję się. Czuję jedynie wściekłość, że przed śmiercią nie zdołałem zabić Iwana.

– Dla kogo pracujesz? – warczy stanowczym głosem Iwan.
– Kto cię przysłał?

Spluwam na ziemię, kropelki krwi rozpryskują się na jego bucie. Iwan obnaża zęby i unosi broń, chcąc uderzyć mnie raz jeszcze.

– Zaczekaj – rozlega się zachrypnięty głos.

Jakiś mężczyzna wychodzi na przód. Jest średniego wzrostu, ma może pięćdziesiąt lat, jasne oczy i głębokie blizny na obu policzkach

– zupełnie jakby oberwał śrutem lub w przeszłości miał problem z wyjątkowo upierdliwym trądzikiem. Kiedy mówi, wzrok wszystkich zebranych w pomieszczeniu mężczyzn skupiony jest na nim. Zapada cisza pełna oczekiwania, która świadczy o tym, że to on jest prawdziwym bossem, a nie Iwan Zieliński.

– Wiesz, kim jestem? – pyta.

Potwierdzają kiwam głową.

To Tymon Zając. Bardziej znany jako Rzeźnik. Nie byłem pewien, czy Iwan dla niego pracuje, lecz mogłem się tego domyślić. W Warszawie to właśnie Rzeźnik pociąga za wszystkie sznurki.

Zatrzymuje się przede mną. Stoimy teraz oko w oko – sądzę, że kolor jego oczu wyblakł z wiekiem albo z powodu tych wszystkich rzeczy, które widział. Przeszywa mnie spojrzeniem.

Nie spuszcza wzroku. Nie czuję strachu. Nie obchodzi mnie to, co ten człowiek mi zrobi.

– Ile masz lat, chłopcze? – pyta.

– Szesnaście – odpowiadam.

– Dla kogo pracujesz?

– Pracuję w Świeżych Delikatesach. Robię kanapki i sprzątam stoły.

Zając zaciska usta. Mierzy mnie twardym spojrzeniem, próbując ustalić, czy się z niego nabijam.

– Pracujesz w Delikatesach.

– Tak.

– To ty zabiłeś Nowaka i Adamowicza?

– Tak – odpowiadam stanowczo.

Znowu jest zaskoczony. Nie spodziewał się, że się do tego przyznam.

– Kto ci pomagał? – pyta.

– Nikt.

Teraz wygląda na wkurzonego. Jednak jest wściekły na swoich ludzi.

– Pomywacz na własną rękę śledził i zabił moich dwóch żołnierzy?

Oczywiście to pytanie retoryczne. Nikt nie ma odwagi, by na nie odpowiedzieć.

Raz jeszcze odwraca się w moją stronę.

– Chciałeś dzisiaj zabić Zielińskiego?

– Tak – przytakuję.

– Dlaczego?

Na pyzatej gębie Iwana maluje się cień strachu.

– Szeffie, dlaczego... – zaczyna.

Zajac unosi rękę, aby go uciszyć. Wciąż wbija we mnie wzrok, czekając na odpowiedź.

Moje usta są spuchnięte od uderzenia, ale mówię wyraźnie:

– Twoi ludzie zgwałcili moją siostrę, kiedy szła na egzaminy wstępne do szkoły. Miała szesnaście lat. Była dobrą dziewczyną – miłą, łagodną i niewinną. Nie należała do waszego świata. Nie mieliście powodu, żeby ją krzywdzić.

Zajac mruży oczy.

– Jeśli chciałeś zadośćuczynienia...

– Nie chcę żadnego zadośćuczynienia – odpowiadam gorzko.
– Popełniła samobójstwo.

W jasnych oczach Zajaca nie widzę ani trochę współczucia – dostrzegam w nich wyłącznie zimną kalkulację. Uważnie analizuje moje słowa, biorąc pod uwagę obecną sytuację.

Potem ponownie zerka na Iwana.

– To prawda? – pyta.

Jego podwładny oblizuje usta, wahając się. Widzę, że walczy ze sobą. Musi wybrać między kłamstwem, a strachem przed swoim pracodawcą.

– To nie była moja wina – odpowiada w końcu. – Ona...

Rzeźnik strzela mu prosto między oczy. Kula znika w czaszce Iwana, pozostawiając między jego brwiami ciemną, okrągłą

dziurę. Żołnierz wywraca oczami i pada na kolana, po czym upada ciężko na podłogę.

Myśli w mojej głowie wirują jak na karuzeli. Po pierwsze – czuję ulgę, że zemsta na oprawcach Anny dobiegła końca. Po drugie – rozczarowanie, że to Zając pociągnął za spust, a nie ja. Po trzecie – jestem świadomy, że teraz ja muszę zginąć. Po czwarte – wcale mnie to nie obchodzi. Ani trochę.

– Dziękuję – mówię do Rzeźnika.

Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów. Patrzy na moje podarte jeansy, brudne tenisówki, nieumyte włosy i chudą sylwetkę. A potem wzdycha.

– Ile zarabiasz w Delikatesach? – pyta.

– Osiemset złotych tygodniowo.

Jego usta opuszcza coś jakby świszczące westchnienie – nigdy już nie usłyszę, jak wydaje z siebie dźwięk, który by bardziej przypominał śmiech.

– Już tam nie pracujesz – oznajmia. – Teraz pracujesz dla mnie. Zrozumiano?

Niczego nie rozumiem, ale i tak kiwam głową.

– Niemniej jednak – mówi ponuro – zabiłeś dwóch moich ludzi. Nie możesz pozostać bezkarny.

Kiwa głową do jednego ze swoich żołnierzy. Mężczyzna otwiera worek leżący obok ciała Iwana i wyciąga z niego maczetę długości mojego ramienia. Klinga jest ciemna ze starości, lecz została naostrzona i teraz jest ostra jak brzytwa. Żołnierz podaje maczetę swojemu bossowi.

Rzeźnik podchodzi do starego stołu roboczego. Ma połamany blat i brakuje mu nogi, a mimo to wciąż stoi.

– Wyciągnij rękę – rozkazuje.

Jego ludzie mnie puszczają i mogę podejść do stołu. Kładę na nim rękę i rozkładam szeroko palce.

Czuję się dziwnie nierealnie, zupełnie jakbym z odległości niespełna metra przyglądał się sam sobie.

Zając unosi maczetę, po czym opuszcza ją ze świstem, odcinając mój mały palec tuż nad pierwszym knykciem. Boli bardziej niż uderzenie pistoletem. Pali mnie zupełnie tak, jakbym wsadził czubek palca w ogień. Zając podnosi ten niewielki kawałek mięsa, który jeszcze chwilę temu był częścią mojego ciała, a potem rzuca go na zwłoki Iwana.

– I proszę – oznajmia. – Dług został spłacony.